

Rekolekcje Wielkopostne – Wierzyć dzisiaj

Drukowanie poniższego tekstu jest możliwe pod warunkiem zachowania w tekście drukowanym informacji znajdującej się w stopce każdej strony.

V Niedziela Wielkiego Postu

Nauka 33 – wierzyć jak mężczyzna

Jest taki zwyczaj w rekolekcjach parafialnych, że przynajmniej jedną naukę poświęca się mężczyznom. Ja także chciałbym temu zwyczajowi uczynić zadość i kilka chwil poświęcić tematowi **wiary przeżywanej przez mężczyznę**. Inaczej bowiem sprawy wiary widzi i przeżywa kobieta, która z natury jest bardziej uczuciowa i bardziej nastawiona na sprawy serca, inaczej zaś mężczyzna, który z natury jest –co tu dużo mówić- bardziej „zewnątrzny” i słabiej uczuciowo wyposażony. Nie znaczy to wcale, że jest pokrzywdzony lub, że ma mniejsze szanse na pogłębione przeżywanie wiary. Jest po prostu inny, i dobrze, że jest taki.

Wiara nie jest na pewno tylko sprawą wnętrza i nie tylko sprawą uczuć, i stąd można, a nawet trzeba się zastanowić nad możliwością wyznawania wiary przez współczesnego mężczyznę, żyjącego w dzisiejszym, bardzo zracjonalizowanym -i odartym z sacrum- świecie. Na pewno nie będzie on uczestniczył w licznych nabożeństwach i spędzał całych godzin w kościele. Ale też nie może religijnych praktyk w całości odrzucić, czy zaniechać na zasadzie: „*to zbyt czułościowe i sentymentalne, to nie dla mnie*” Bardzo często jest bowiem tak, że współcześni katolicy mężczyźni i ojcowie czują jakiś fałszywy wstyd w wyznawaniu swojej wiary, uważając, że jest to dobre dla starszych kobiet. Ostatnio powstał nawet pogardliwy termin na określenie tychże – moherowe berety, który wydaje się być synonimem dewociarstwa i bigoterii. I dlatego mężczyźni „odcinają się” najczęściej nie tylko od takich bigoteryjnych praktyk, ale nawet od praktyk religijnych w ogóle.

W mniemaniu bowiem wielu mężczyzn, tego rodzaju przekonanie zwalnia ich –niejako- od obowiązku religijnych praktyk i odsuwa od życia Kościoła, dyspensuje od obowiązku pogłębiania wiary. Jest to tym bardziej niebezpieczne, że powszechna jest wśród mężczyzn postawa lekceważąco-cyniczna. I to -w sumie- ustawia ich -niejako z góry- na pozycji krytycznej lub krytykanckiej i nonszalanckiej. Niezbyt liczni są ci, którym udało się nie ulec pokusie cynizmu i lekceważenia spraw wiary. Jeszcze mniej liczni są ci, którzy potrafią znaleźć swój męski sposób wyznawania wiary. Jest bowiem zazwyczaj i tak, że mężczyźni dodatkowo usprawiedliwiają się zmęczeniem, koniecznością zarabiania na życie i twardego chodzenia po ziemi, bez noszenia głowy w chmurach. Jakby ot tylko oni na życie zarabiali musieli twardo po ziemi stąpać.

Jeden z czołowych filozofów P. Ricoeur mówi: - "zrozumieć nasz czas, to zdać sobie sprawę z dwóch jednoczesnych zjawisk: postępu racjonalności i jednoczesnego zaniku sensu". I to jest – chyba- w szczególności sposób widoczny w świecie mężczyzny. Z jednej strony wzrasta nasza racjonalność, umiejętność logicznego, rzeczowego myślenia, a z drugiej strony zanika, ucieka nam gdzieś poczucie sensu a co za tym idzie i poczucie sacrum. A tym samym, życie nasze staje się coraz bardziej bezsensowne i wyprane z religijności. Jest to tym bardziej odczuwalne, gdy mężczyzna traci pracę, gdy nie może zadośćuczynić swojej męskiej dumie (nie pysze!) bo nie stać go na utrzymanie rodziny. Czuje się bardzo nieswojo, gdy widzi, że czasami zarobki żony są nie tylko konieczne dla utrzymania domu, ale nieraz nawet znacznie większe od jego zarobków. Zredukowano rolę mężczyzny, a zarazem zafalszowano, próbując lansować model wiecznie młodego, wysportowanego i zaradnego żigolaka, bohatera na siłę, czy wypranego z wszelkich ludzkich uczuć „twardziela”.

To wszystko powoduje, że wielu mężczyzn popada we frustrację, w zniechęcenie, a czasami w bardzo poważne nałogi, które mają niejako zagłuszyć uczucie frustracji i zniechęcenia. Stają się agresywni, arogancy, wulgarni, nastawieni negatywnie do wszystkich i do wszystkiego, z własną rodziną na czele. Oczywiście -w takiej sytuacji- religijne praktyki, modlitwa, regularne

uczestnictwo we Mszy św., czy Spowiedź wydają im się czymś nie do przyjęcia lub nawet czymś odpychającym. Kobieta w sytuacji kryzysu –w sposób naturalny- ucieka się do Boga, do modlitwy, do praktyk religijnych, bo ona wie, że tak naprawdę wszystko jest w ręku Boga. Sfrustrowany zaś, zawiedziony i rozczarowany mężczyzna ucieka „w kumpli”, w alkohol, w brutalność, w zniechęcenie i odrętwienie. Jest po prostu o wiele słabiej przygotowany na kryzys, czy niepowodzenie, przeżywa go o wiele mocniej i o wiele bardziej dramatycznie. Stąd chyba powstało w filozofii czy ideologii marksistowskiej modne powiedzenie, że „religia jest jedynie opium dla ludu, utrzymującym prostaczków w pokorze i poddaństwie”, a mężczyzna nie jest typem pokornym, który łatwo ulega poddaństwu. Dlatego też u mężczyzn tak trudno o zdrową ocenę rzeczywistości, o obiektywizm i umiejętność wyważonego i naturalnego rozpoznania faktu, że nie wszystko mogą i nie wszystko zależy ode mnie i moich wysiłków, że czasami muszę znaleźć drogę do Tego, Który Jedyny Jest i Który wszystko może.

Przypomina mi się tutaj fragment poezji Czesława Miłosza z tomu "Piesek przydrożny"

*On:
Świadomy współzawodnictwa.
Napięty.
Czujny.
Gotowy do biegu.
Agresywnie myślący.
Wiedzący lepiej od innych.
Poprawiacz świata.
Przeżywający latami każdą porażkę.
Rzucający wyroki potępienia.
Niezdolny do pogodzenia się z sobą.*

*A kobieta przygląda się temu z uśmiechem,
bo wie,
że on jest zajęty rzeczami,
które przemijają i nie mają większej wagi.*

Nie mam zamiaru dokonywać tutaj socjologicznych i antropologicznych analiz przyczyn takiego stanu rzeczy, ale sądzę, że każdy z nas mężczyzn powinien sobie jednak zdawać sprawę z istnienia takich właśnie mechanizmów „dołowania człowieka”. Nie namawiam też wcale do bigoterii i dewocyjnego podejścia do spraw wiary, czy religii. Na pewno wiara nie może być zastępnikiem naszego poczucia odpowiedzialności i naszej pracy, naszego wysiłku i naszych słusznnych dążeń do samorealizacji. Z drugiej jednak strony nie może być tak, że tego rodzaju „dołujące sytuacje” doprowadzają nas do psychicznego załamania, lub powodują, że mężczyźni stają się tyranami we własnym domu. Ileż to jest bowiem takich domów, w których mężczyźni czując się niedowartościowani, głęboko przeżywając swoje (nieraz wydumane) porażki, tyranizują swoje żony i dzieci?

Dlaczego tak jest i jak temu zaradzić? Pytania na które nie mam odpowiedzi, ale próbuję sobie przypomnieć jak to było w moim rodzinnym domu. Kilka dni temu wspomniałem o tym, jakie wrażenie robiła na mnie modlitwa mojego ojca, jak była ona dla mnie budująca i zarazem zastanawiająca. Ojciec mój na pewno nie był bigotem i dewotką, ale nie przypominam sobie, żeby np. opuścił niedzielą Mszę Świętą. Nie było to w ogóle do pomyślenia, aby ktoś w niedzielę na Mszę Świętą nie szedł, no chyba że był chory. O religii się w domu nawet specjalnie i wprost nie rozmawiało, ale nikt nie podważał oczywistych praw czy zasad moralnych, nikt nie dyskutował na temat chodzenia czy nie chodzenia na katechezę, czy na Mszę. Rodzice (a szczególnie ojciec) z nami na ten temat nie rozmawiali, ale dawali sami, swoim życiem przykład. I jakoś wcale nie czuliśmy się (było nas troje dzieci), ani zaszczuci, ani zastraszeni, ani zniewoleni. Ojciec miał swoje męskie słabości. Zdarzało mu się np. czasami zaglądnąć do kieliszka, czy nawet powiedzieć jakieś „grubsze” słowo, lub zdenerwować, ale pamiętam, że regularnie trzy, cztery razy do roku szedł do Spowiedzi i przed spowiedzią przeproszał „Mamcią” (tak nazywał naszą Mamę) za swoje zachowanie i niegrzeczność, a i nas prosił o wybaczenie, że czasami nas ostrzej potraktował. Pamiętam też, że bardzo ciężko pracował fizycznie i nieraz był bardzo zmęczony. Podziwiałem go jednak za to, że np. w

Adwencie regularnie chodził na Msze Święte Roratnie. I to był dla mnie doping. Wstyd mi było nie wstać rano na Mszę o godzinie 6-tej, kiedy widziałem, że on wstawał, ubierał się i szedł, codziennie przez cały Adwent. Podobnie w Wielkim Poście. Nie chodził na nabożeństwa Drogi Krzyżowej w piątki, bo wtedy był akurat w pracy, ale w każdą niedzielę Wielkiego Postu, po południu szedł na Nabożeństwo Gorzkich Żali. Nie chcę tu pisać elegii na temat mojej rodziny, ale przypominam sobie także podobną postawę u mojego dziadka (ze strony ojca), ilekroć zdarzyło mi się być u nich na wakacjach. I teraz, po latach myślę, że mój ojciec wyniósł to ze swojego domu rodzinnego. Wyniósł jakąś wrodzoną, naturalną uczciwość i rzetelność wobec Boga. Nie był na pewno świętoszkowaty, daleko mu było do doskonałości, miał swoje wady i przywary, ale dwie rzeczy u niego bardzo cenilem; jego ciężką, rzetelną i uczciwą pracę (a przecież nie przelewało się w naszym domu i nie żyliśmy w luksusach) i właśnie ową prostą uczciwość i naturalną rzetelność w sprawach Bożych, w sprawach religijnych.

Co więcej widzę, że te same reguły uczciwego życia przejął i wprowadził w swojej rodzinie mój brat. U niego nie dyskutuje się o religii, o konieczności, czy niekonieczności praktyk religijnych. On sam po prostu z żoną idzie w niedzielę na Mszę, a dzieci widzą jego dobry przykład. Czy nie powinno tak właśnie być w naszych domach, w naszych rodzinach? Czy nie tego właśnie oczkuje rodzina od głowy domu, od swego ojca? Ileż to jest dzieci, które nie mają takiego przykładu i są w naturalny sposób zagubione, zdezorientowane w życiu codziennym? Najlepsza szkoła, najlepszy katecheta nie potrafią odrobić tych braków i zaległości wychowania, jakie nagromadziły się w dzieciństwie.

Nie umiem tego inaczej przedstawić, nie potrafię zobiektywizować, ale tak mi się to właśnie jakoś przedstawia. W takim klimacie się wychowałem i takie wartości z domu rodzinnego wyniosłem. Nie twierdzę, że moja rodzina była doskonała, ale też zło było nazywane złem i było karane, a dobro było dobre i było nagradzane.

I na zakończenie cytuję z książki („Judaizm i kobiecość”) Emanuela Levinas’a, który pokazuje wzajemne relacje męskiego i żeńskiego elementu w dziele kształtowania małżeństwa i rodziny. A pisze on tak:

"Ontologiczne funkcje kobiecości to oświecać oczy mężczyzny, "jego zaślepiony wzrok", pomagać mu przewyciężyć ostateczną alienację, która rodzi się z samej męskości uniwersalnego i zdobywczego logosu, oraz pomagać mu zamieszkać wewnątrz Domu, przywracać duchowi duszę, być zaczątkiem wszelkiej łagodności, jest to funkcja ontologiczna tej, "która nie zdobywa". ale która -jak pisze Miłosz-: „przygląda się temu z uśmiechem, bo wie, że on (mężczyzna) jest zajęty rzeczami, które przemijają i nie mają większej wagi."

Kobieta może bardzo wiele w dziele „oswajania” mężczyzny. Ona na pewno może mu pomóc dostrzec to, czego on nie widzi, czego nie docenia, co lekceważy. Ona może udomowić wiecznego zdobywcę i uczynić go rzeczywiście odpowiedzialną i rzetelną głową domu i rodziny.

A Siostra Ewa Bońkowska pisze:

Człowieczeństwo jest dla mnie jak ptak, który ma dwoje skrzydeł - nazwałabym je symbolicznie męskim i żeńskim [...] Nasza cywilizacja może poszybować wysoko, stać się bardziej uduchowiona tylko wtedy, gdy oba skrzydła będą tak samo wykształcone, zdrowe i zdolne do wypełniania swoich ról życiowych. Niestety, nastąpiło w naszych czasach pewne zachwianie równowagi tych symbolicznych skrzydeł".

I to zachwianie widoczne jest w tym, że mamy coraz więcej zniewieściałych mężczyzn, poddających się łatwo stresom i popadających we frustrację, i coraz więcej kobiet, feministek, które zapomniały, że są kobietami. Ale to już jest temat na oddzielną „rozprawkę”.